Nr. 12. Kraków, Grudzień 1913. Rok VII.

Cena numeru pojedynczego 4 halerze (2 centy).





Redakcya i Administracya:
Kraków, ul. Franciszkańska L. 3.

I przyszedł Mesyasz...

„Nie lękajcie się: bo oto opowiadam wam wesele wielkie, które będzie wszystkiemu ludowi, iż się wam dziś narodził Zbawiciel“.

Temi słowy uspokajał Anioł pasterzy strwożonych niezwykłą światłością niebiańską, zwiastującą najważniejszy wypadek w dziejach świata. Zlękli się ubodzy pasterze — bo też to były czasy trwogi ogólnej, czasy upadku wszystkiego, co piękne, dobre, szla-

chetne. Była to chwila konania świata starożytnego, pełna nieufności, trwogi i zwątpienia; dreszcze śmiertelne zepsutej ludzkości przebiegały świat ówczesny. Wszystko się rozprzęgło, psuło, upadało.... Ustały czyny bohaterskie, upadła sztuka, przyćmiło się światło nauki — znikło poszanowanie sprawiedliwości, zerwały się związki rodzinne, pozostało tylko pogańskie niskie samolubstwo, chciwość, żądza używania.

Wtenczas to Syn Boży zstępuje na ten padół płaczu i nędzy, zbolałej i upadłej ludzkości przynosi światło prawdy, głosi braterstwo ludzi, miłość, zwiastuje nowe życie. Narody przyjmują Jego Boską naukę i wnet przybierają nowe kształty, a im więcej i żywiej Jego prosta, a tak wzniosła nauka przenika ludzkość, tembardziej zbliża się świat do szczęścia, tembardziej ziści się królestwo Boże na ziemi. I przy tem świetle prawd ewangelicznych kroczy ludzkość przez XX. wieków.

Dziś zamęt w świecie taki niemal, jak za dni Augusta rzymskiego, poprzedzających przyjście Zbawiciela. I dziś wszystko się rozprzęga, i dziś trwoga jakaś i niepewność jutra owładnęła sercami. I dziś słychać nawoływania, aby stary porządek wywrócić, a oprzeć na nowych podstawach, które rzekomo mają szczęście zapewnić ludzkości.

Lecz czy to zbawcy tak przemawiają? Nie głos Anioła, ani światłość niebiańska zwiastuje ich przyjście, lecz huk bomb dynamitowych i krwawe łuny pożarów, które zapala ślepa nienawiść i chciwość nienasycona.

Gdzież są ci zbawcy? Tak powinno zapytać społeczeństwo nasze, osłabione politycznymi rozbiorami, nękane uciskiem i prześladowaniem, rozdzielone na tyle partyj wzajem się zwalczających, osłabione niezgodą, zawiścią stronnictw, obłąkane i na manowce prowadzone przez podstępnych agitatorów.

Gdzież dla nas zbawienie? Nie gdzieindziej, tylko w tych nieprzestarzałych prawdach nauki Chrystusowej, prawdach, które ocaliły ludzkość od zagłady, i wiecznie stać będą na straży porządku społecznego i szczęścia ludzkości, prawdy, które Kościół katolicki nienaruszenie zachował od błędów i przez tyle wieków głosił.

Nasz naród za szczęśliwy może się uważać, że zawsze wiernie stał przy Kościele, którego nauki do głębi go przejęły. One były zawsze kotwicą jego ratunku. Idąc tedy za nauką Kościoła, przestrzegając ją ściśle we wszystkich sprawach, tak prywatnych, jak publicznych, wzmożemy się w siłę niespożytą, zbędziemy pychy i zawiści wzajemnej, a zaświeci wśród nas jutrzenka zgody, jedności, miłości bratniej i szczęścia, czego z duszy tak naszym łaskawym Czytelnikom, jak i wszystkim Braciom, z głębi serca życzymy.

Do żłóbka!

Bóg się rodzi! Wieść szczęśliwą
Głoszą światu Aniołowie,
I z radością niecierpliwą
Spieszą króle, pastuszkowie.
Lecz ukryte chwały blaski:
Dzisiaj Bóg — Dzieciną małą,
Dziś On tylko królem łaski
I przygarnia ludzkość całą.
Bóg się rodzi! Szopka licha
Dziś pałacem niebios Pana,
A Dziewica korna, cicha,
Matką Boga jest obrana!
Spieszmy bracia! Gwiazdka świeci,
I do żłóbka ubogiego,
Śród światowych kurz, zamieci,
Doprowadzi zbłąkanego.

Wigilia króla Władysława Warneńczyka.

Z Azyi wróg na Europę szedł.

Wróg straszny wiary Chrystusowej, nauki, światła, postępu, wolnego ducha ludzkiego.

Król w sobie ducha wielkiego miał, ku celowi wzniosłemu śmiało kroczył, ogniem świętym płonął, pomimo mrozu, stalowej zbroi nie zdejmował — ale rozumiał, iż rycerze ludźmi jeno są, że trudy ich siły wyczerpują a w zmęczonem ciele duch słabnąć może.

Sobie odpoczynku nie dawał, lecz innych żal mu było.

Szczególniej dziś.

Rozrzewnienie w sobie wielkie czuł, myśląc, iż to dzień wigilijny, że jutro Boże Narodzenie, a wszyscy ci rycerze muszą je spędzić zdala od rodzin, zdala od ciepłego gniazda ziemi ojczystej, że nawet obozu rozłożyć nie mogą, by modlitwą i pieśnią powitać pierwszą gwiazdę, zwiastunkę wielkiego święta.

Gdyby choć pod wieczór w bezpiecznem miejscu stanąć, ognie rozłożyć, nie biesiadą, lecz modlitwą dzień święty uczcić, wypoczynkiem ciała pokrzepić...

Zgiełk daleki odezwał się, pomiędzy ściany wąwozu szedł i cisnął dalej szerząc trwogę.

Przystanął na chwilę, wsłuchał się i ku nadbiegającym pułkownikom zawołał:

— To bitwa! Działa Brankowicza grają, tureckie zagłuszają je, bo przemoc ich jest! Do chorągwi! Ładu pilnować! Na pomoc Jerzemu!

Zatoczył koniem, twarzą ku wojsku zwrócił na strzemionach uniósł.

Ogromny się wzdawał.

Na policzkach rumieńce, w oczach blask promienny miał.

— W imię Chrysta, którego urodzenie jutro świętować mamy, w bój! Kto w Boga wierzy, naprzód!

— W bój! — rozległy się rozkazy wodzów.

— Za Chrysta!

— Za wiarę!

— Za rodny kraj;

Nad głową Władysława krzyż złocisty się uniósł wysoko; potem kłonić począł, na przód, na lewo, na prawo i znowu w górę wznosił.

To kardynał Julian wojsko błogosławił.

Wodzowie pułki sprawiali, skupili, by w porządku przez wąwóz przecisnąć się mogły.

Pierwsze ruchy powolne były, bo ludzie i konie aż sztywnieli od zimna. Ale jakieś ciepło po ciałach chodzić poczęło, rosło, aż już i żar ten i ów w sobie czuł.

Król już pułk swój sprawił, na czoło wyskoczył. Kardynał tuż przy nim.

— W imię Chrysta! — rozległ się głos dźwięczny, donośny.

Chrzęst zbroi, dźwięk pałaszy, młotów, raźne o tarcze uderzenia, tentent koni, pieśni nabożne, okrzyki wojenne, wszystko zmięszało się w huk jakiś potężny, groźny, jak grzmotów łomot.

Wydarli się z wąwozu, wpadli na równinę.

Zgiełk bitwy straszny ich doleciał.

Wojsko Brankowicza ledwo można było dojrzeć, taka moc Turków je okalała, czyniąc wrzask, ogłuszający nawet huk armat.

Król ledwo czteru pułków się doczekał.

Pchnął rozkazy, by reszta co tchu spieszyła.

Sam pułki gotowe sprawił, płomiennym wzrokiem zapalił; przyłbicę spuścił.

W imię Chrysta!

Jak orzeł zerwał się, odskoczył i w lot.

Słyszał, jak pułki runęły za nim.

Pieśń „Boga Rodzica“ popłynęła poważna, z rozmachem rycerstwa potężniała, zapełniła dolinę całą, drżała w powietrzu jak płomienie, żar wlewała nawet w tych, co języka nie rozumieli.

A król zdawał się lecieć na falach pieśni, z mieczem wzniesionym do góry, z wzrokiem utkwionym w niebo.

Złoty krzyż kardynała pruł powietrze i zdawało się wojsku, że promienie od niego biją takie, iż od nich siła w nich rośnie i już nie nadzieję w sobie mieli, ale pewność zwycięstwa.

Trzask kopij straszny, a po nim jęk rozpaczliwy.

— Ałłach, Ałłach!

Tysiące ciał skłębiły się. Ledwo dziesiątego miecz dosięgnął.

Reszta ginęła od kopyt końskich, w natłoku, pod naporem dalszych szeregów, gnanych przez baszów, dzikich, bezlitośnych.

Ocalał Brankowicz, ale bój nie ustawał.

Już całe wojsko chrześcijańskie do boju stanęło, lecz Turków moc była ogromna i coraz nowe pułki z gór spadały, wśród huku dział, wśród strzał chmur tak gęstych, iż chwilami całą jasność dnia zakrywały.

Gdzie najstraszniejszy bój, tam król na przedzie był. Chwiejących się podtrzymywał, dzielnych głębiej w nieprzyjacielskie wiódł szeregi, upadających z trudu gorącem słowem na nowo rozpalał.

O zmroku wróg pierzchnął, w wąwozy zapadł, w lasach się skrył strwożony, pobity, drżący przed prześladowaniem chrześcijan i przed gniewem sułtańskim.

Hunyady wojsko po polu zbierał, pod sztandary nawoływał, rannych szukać kazał, poległych bodaj śniegiem przysypać.

Zapłonęły ogniska. Legło wojsko na spoczynek. Niejeden i posiłku nie doczekał. Znużenie rzucało ludzi na śnieg skrwawiony, na ziemię kopytami końskimi rozrytą; sen ich chwytał.

Cisza ogromna.

W małym namiocie król Władysław legł na posłaniu.

Zmęczenia nie czuł, snu nie pragnął.

Myśli jego uleciały daleko, do ziemi rodzinnej.

Zdawało mu się, że pacholęciem jeszcze jest, że przy matce ukochanej igra. Dźwignął się jakby ją widział, na kolana padł, jak to czynił nieraz u nóg jej...

Widział ją taką piękną, taką dobrą, taką słodką...

Głowę podniósł. Słuchał.

Głos piękny, męski, dźwięczny, odezwał się tuż obok namiotu:

Pochwalmyż wszyscy społem Pana Boga z tego
Że na świat zesłać raczył Syna jedynego.
Tegoż Panna Marya w Betleem porodziła,
Jezusa miłego i w pieluchy powiła,
A do żłobu włożyła,
Króla niebieskiego....

To mistrz Grzegorz z Sanoka kolędę śpiewał.

— Mistrzu! — zawołał Władysław — Bóg za nas życie dał. A my?

— Myśmy zwyciężyli dziś, bośmy pełni wiary za znakiem krzyża szli....

Co winniśmy Papieżowi?

Aby należycie ocenić stanowisko Papieża w Kościele Chrystusowym, należy koniecznie przypatrzyć się mu oczyma wiary.

Wiara przedstawia nam Namiestnika Chrystusowego, jako najwyższego Pasterza narodów, jako opokę Piotrową, jako stróża wiary i moralności. Jego pieczy powierzył Bóg najszlachetniejsze ideały życia ludzkiego. On jest głową wielkiej rodziny chrześcijańskiej, ustanowionej przez Chrystusa Pana, i stoi na czele zbawiennej instytucyi Kościoła świętego, którego członkami jesteśmy. Z urzędu swego ma prawo wydawać rozkazy i przepisy. Żaden nieuprzedzony człowiek nie będzie odczuwał w jego panowaniu nad sobą niewoli duchowej, gdyż Bóg sam wyznaczył mu to stanowisko nad wszelkimi narodami i obowiązek prowadzenia ich do wiecznej przystani.

Papież jest Ojcem całego chrześcijaństwa. Ojcem w całem tego słowa znaczeniu. Rządy i wyroki jego odznaczają się łaskawością i łagodnością, a zarządzenia jego zmierzaią li tylko ku dobru naszemu duchowemu.

Nie tylko czwarte przykazanie Boże, ale i względy czysto ludzkie nakładają nam obowiązek miłości wobec ojca naszego, a z tego obowiązku wypływa znowu obowiązek posłuszeństwa wobec wszystkich jego przepisów. Posłuszeństwo to objawiać się winno w bezwzględnem przyjmowaniu wszelkich rozporządzeń jego w tem przekonaniu, że one mają jedynie dobro nasze wieczne na celu.

Stąd zaś wypływa dalszy wniosek, że nie wolno nam krytykować publicznych enuncyacyj (wyroków) Stolicy Apostolskiej, zwłaszcza, że zazwyczaj nie umiemy należycie ocenić, jakie okoliczności spowodowały Ojca św. do wydania tego lub owego rozporządzenia. Wolno poddawać krytyce przemówienia lub orędzia monarchów, ministrów, dygnitarzy świeckich, oraz innych osób, wysuniętych na czoło społeczeństwa ludzkiego, ale nie wolno prawdziwym chrześcijanom-katolikom stawiać pod pręgierz opinii publicznej wywodów Namiestnika Chrystusowego. Tę „robotę" trzeba raczej pozostawić wrogom jego, których nigdy bodaj nie zabraknie.

Ilekroć Ojciec święty przemawia do nas w encyklice, w liście i t. d., tylekroć odzywa się nie w swojem imieniu, lecz jako zastępca, jako namiestnik Chrystusowy. A Pan Jezus powiedział do Apostołów i do ich następców: „Kto was słucha, mnie słucha; kto wami gardzi, mną gardzi".

Posłuszeństwo dla Papieża powinno dalej być ugruntowane na silnej wierze w nieomylność jego urzędu nauczycielskiego. Któż bowiem zdoła nam jaśniej powiedzieć, co nam czynić wypada dla wiecznego zbawienia, a czego unikać? Któż z większą pewnością ma prawo rozstrzygać, co jest w tym względzie dozwolone, a co zakazane?...

Miłość ku Głowie Kościoła jest cnotą, zdobiącą każdego prawego katolika. Ona jest — rzecby można — probierzem wiary danej osoby. Im głębszą miłość dziecięca do Ojca całego chrze-

ścijaństwa w sercu jego zapuściła korzenie, tem silniejszą i żywszą jest jego wiara. Kto zaś od niego się odwraca, kto niepowołaną krytyką podkopuje jego powagę, ten tem samem kopie przepaść między sobą a Bogiem, którego Papież jest widzialnym zastępcą tu na ziemi. Dla tego rodzaju ludzi miano „katolika“ jest i będzie zawsze czczą tylko nazwą. W szeregach prawdziwych synów Kościoła katolickiego niema dla nich miejsca.

Wiara nie zna obawy.

Podczas rewolucyi francuskiej na początku zeszłego stulecia można było być świadkiem tak pocieszających i wzniosłych scen prawdziwej wiary, jakie się tak często zdarzały w pierwszych trzech wiekach chrześcijaństwa. Odznaczali się niemi mieszkańcy prowincyi Vendee i Bretanii. Żadna siła, żadne prześladowanie nie potrafiło wziąść im wiary; nie ustępowali ani przed gniewem ani przed obawą.

„Każę wasz kościół zburzyć“, rzekł Jan z St. Andre do wieśniaka jednego, „abyście nie mieli nawet przedmiotu, któryby was napowrót do waszego zabobonu naprowadzał“. — „Lecz jednak musicie nam zostawić gwiazdy“, odrzekł poczciwy wieśniak, „a te widać dalej niż naszą wieżę“. Można nawet śmiało powiedzieć, że tylko w niektórych gminach były obrzędy zewnętrzne przerwane; pobożność była większą i surowszą niż samo prześladowanie.

W miejscowości Cropon n. p. zamknięto kościoły, a kapłani odprawiali Msze święte w stodołach, gdyż żołnierze zapełniali wszystkie wsie. Jak można było więc wypełniać obowiązki religijne? Słuchajcie! Północ wybija, światło odbija się w dali w falach oceanu. Słychać głos dzwonka wśród szumu fal; następnie podnoszą się we wszystkich zatokach i skałach ciemne postacie kierujące swe kroki ku morzu. Są to łódki rybaków z żonami i dziećmi, kobietami i starcami, udającymi się do pewnego punktu na morzu. Wkrótce słychać głos dzwonka coraz wyraźniej, światło coraz jaśniejsze, a w końcu ukazuje się przedmiot, do którego dąży lud na falach. Jest to czółno, w którym stoi kapłan dla odprawienia Mszy św. Wiedząc o tem, że ma tylko Boga za świadka zwołał on swoich parafian na tę uroczystość i wszyscy wierni przybyli, wszyscy klęczą na dnie swoich łódek wśród fal i szumiącego morza, naokoło woda tylko i zachmurzone niebo.

Bohater.

Było to na Madagaskarze. W jednej z chat tubylców rozgrywa się wstrząsająca historya. Ojciec rodziny, starzec siedm-

dziesięcioletni, jest zarażony trądem, straszną, nieuleczalną i zaraźliwą chorobą. Dorośli już synowie i córki skupiają się przerażeni w drugim kącie chaty, rozmyślając co począć. W ich sercach walczy przyrodzona miłość dziecięca ku rodzicielowi z lękiem i strachem przed trądem. Co czynić? Wnet w ich duszy pogańskiej górę bierze obawa o siebie, własne życie i tak opanowuje ich umysł, że zapominają, iż mają przed sobą ojca swego nieszczęśliwego, że widzą w nim jedynie trędowatego, największego wroga swojego zdrowia i życia. Więc wzywają go, ażeby opuścił chatę i nie wracał już do niej. A kiedy starzec opiera się, przywiązują mu powróz do nogi, wyciągają go z izby i wloką tak aż do pobliskiego lasu. Tutaj zostawiają go na małej polanie i uciekają w pośpiechu największym!

Po długiej chwili starzec, złamany bólem podwójnym, cielesnym i duchowym otwiera nawpół przytomne oczy i widzi rozpaczliwe swoje położenie: czeka go śmierć głodowa. Snać przeczuwają to kruki i sępy, bo złowróżbnie krążą dokoła głowy jego, jakby czekając na rychły żer. Więc nieszczęśliwy przymyka oczy, ażeby nic nie widzieć, nic nie myśleć i zapomnieć o swoim losie nieszczęsnym. Głuche tylko jęki, dobywające się z piersi zbolałych, świadczą o tem, że żyje.

Wtem słychać cichy szmer! Cóż to? Czy to liście w krzakach szeleszczą? Starzec unosi zmęczoną głowę, patrzy i widzi, jak rozdziela się ściana krzaków i na polanie, tuż przed nim, staje jakiś człowiek. Przerażenie maluje się na zbolałem obliczu trędowatego, sądzi on, że przybysz nieznany to wróg jego, więc woła: „Idź precz odemnie, nie dręcz mnie, pozwól mi spokojnie umrzeć!“

„Nie bój się“, odpowiada mu na to nieznajomy łagodnym i dźwięcznym głosem, „jam nie twój wróg, jam twój przyjaciel, co ci dopomódz chce“.

„Ty, ty chcesz mi dopomódz?!“ — woła zdziwiony chory. „Własne dzieci wyrzuciły mnie z domu, a ty chciałbyś się mną zaopiekować?! Wiedz, żem trądem zarażony!“

„Właśnie dlatego, żeś nieszczęśliwy i opuszczony“, odparł nieznajomy, „przychodzę do ciebie, bo Bóg każe mi miłować bliźnich moich“. I nie czekając na odpowiedź chorego, wyjmuje z kieszeni manierkę z winem i podaje mu ją. Lecz trędowaty jeszcze mu nie dowierza; obawia się otrucia i dopiero, gdy nieznajomy pierwszy skosztował wina, przykłada manierkę do ust. Pił chciwie orzeźwiający napój, a gdy się pokrzepił, czuje, że nowe życie wstępuje weń; więc wielka fala wdzięczności wzbiera mu w sercu, schyla się do kolan wybawcy swego, mówiąc z łkaniem: „O panie! jakiś ty dobry! Jakiś ty litościwy! Naucz mnie wiary w twego Boga, który każe tak bliźnich miłować“.

A nieznajomy, uradowany temi z głębi serca płynącemi słowy, podnosi go z ziemi jak dziecię małe, bierze na ramiona, jak Chrystus zgubioną owieczkę i zanosi do stacyi, gdzie pielę-

gnował więcej jeszcze trędowatych. Tutaj odkrywa przed duszą jego spragnioną prawdy tajemnice wiary św., udziela mu Sakramentu chrztu św. i zdobywa duszę jego dla nieba.

I kto, zapytasz Czytelniku miły, był tym nieznajomym Samarytaninem bohaterem? Był nim misyonarz katolicki, był nim Polak, O. Beyzym T. J. Pochodził z magnackiej rodziny, dla Chrystusa wszystkiego się wyrzekł: kraju i rodziny, majątku i sławy i poszedł na Madagaskar, opiekować się trędowatymi. Tam przed rokiem padł ofiarą swego powołania, sam zarażony trądem. Prawdziwy bohater Chrystusowy!

Świętopietrze.

Świętopietrzem (także i groszem Piotrowym) nazywano od najdawniejszych czasów roczną daninę niektórych krajów dla Stolicy Apostolskiej,

Około r. 725 przyrzekł anglosaksoński król Ina z Westsex (w Anglii) Papieżowi z każdego domu swego kraju rocznie denara. Za jego przykładem poszła Dania, Szwecya i Norwegia, oraz inne kraje katolickie. Z biegiem czasów rozszerzyła i powiększyła się ta danina, a płacono ją chętnie jako „deb tum caritatis“, jako dług miłości i dowód przywiązania do Stolicy Apostolskiej. Swiętopietrze zbierał Biskup przez swoich kapłanów od wiernych dyecezyan w czasie od uroczystości św. Apostołów Piotra i Pawła aż do uroczystości św. Piotra w okowach.

Polska jako jedna z najwierniejszych cór Kościoła od najdawniejszych czasów posyłała do Rzymu świętopietrze. Francya i Hiszpania zaś nie chciały uznać obowiązkowej daniny dla Stolicy Apostolskiej. Z chwilą zagrabienia państwa kościelnego, a w niektórych krajach, jak n. p. w Anglii, już wcześniej, bo od czasu odstępstwa od wiary katolickiej, ustał zwyczaj składania Papieżowi obowiązkowego świętopietrza.

Natomiast zachowało się ono do dzisiejszego dnia w postaci dobrowolnego podatku katolików całego świata dla Stolicy Apostolskiej. Papież, nie mający żadnych środków utrzymania, skazany jest na jałmużnę wiernych owieczek swoich. Corocznie Biskupi całego świata katolickiego zawożą lub posyłają do Rzymu zebrane ze swych dyecezyi świętopietrze. W ten sposób zbierają się tysiące koron.

Mało kto wie, ,na jakie cele Papież te pieniądze obraca. Żaden prawy katolik nie będzie żądał od Stolicy Apostolskiej składania rachunków z wręczonego jej świętopietrza. Wszakże jest ono daniną miłości serc katolickich i dowodem naszego przywiązania do Stolicy Apostolskiej. Miłość daje chętnie, daje dużo, daje bezwarunkowo i dlatego nie żąda żadnego sprawozdania. Nasza chwała, nasza ambicya na tem właśnie polega, ażeby

Ojciec św. miał dostateczne fundusze, iżby mógł zawsze występować jako książę Kościoła, z godnością odpowiadającą najwyższemu jego urzędowi. Nie troszczmy się więc o to, co Ojciec święty ze świętopietrzem czyni, wiemy bowiem, że je na dobre cele używa, wiemy, że Kościół katolicki wiele ma potrzeb, zwłaszcza w krajach misyjnych, na które większą część świętopietrza się obraca.

Tylko wrogowie papiestwa starają się liczyć sumy, wpływające z całego świata katolickiego do kasy watykańskiej. — Swieżo gazety liberalne zajmowały się znowu sprawą dochodów Stolicy Apostolskiej ze świętopietrza, obliczając, że Ojciec święty ma z niego 10—50 milionów lirów rocznego dochodu.

Sumy to naturalnie przesadzone. Wszelako prawdą jest, że kilka milionów wpływa corocznie do kasy papieskiej ze świętopietrza, przyczem najofiarniejszą okazuje się Francya, zbierając corocznie blisko połowę tych ofiar.

Stolica Apostolska ma corocznie stałe i wielkie wydatki, które przeważnie ze świętopietrza pokrywa.

I tak musi Papież 1. wypłacać pensye Kardynałom i nuncyuszom Stolicy Apostolskiej.

2. Utrzymanie licznych kongregacyj rzymskich, urzędników dworu papieskiego, gwardyi szwajcarskiej, służby, ogrodów watykańskich, olbrzymiej bazyliki św. Piotra jako i licznych innych budynków pochłania corocznie ogromne sumy. Jakich wydatków wymaga już corocznie samo utrzymanie pałacu watykańskiego, mieszczącego w sobie kilkaset pokoi.

3. Ogólnie wiadomą jest dalej rzeczą, że Stolica Apostolska utrzymuje niezliczone stacye misyi katolickich w różnych krajach pogańskich. Ile pieniędzy z kasy papieskiej na te cele płynie, o tem mogłaby udzielić objaśnienia Kongregacya Rozszerzenia wiary św.

4. Najwymowniejszym wreszcie dowodem na to, że Stolica Apostolska zbytnie kapitały obraca na dobre cele, są liczne bazyliki, kościoły i zakłady w Rzymie i innych miastach, zwłaszcza tych, które w dawniejszych czasach miały bliższą styczność ze Stolicą Apostolską. Wielka ich liczba ograbiona z majątków i dochodów, zawdzięcza swoje istnienie i zachowanie bogatej swej szaty zewnętrznej oraz wspaniałych dzieł sztuki jedynie hojności Stolicy Apostolskiej.

Oto, na jakie cele zużywa się świętopietrze, tę dobrowolną ofiarę wiernych całego świata katolickiego, składaną corocznie Ojcu świętemu, jako wyraz hołdu i przywiązania synowskiego! Składajmy ją chętnie i szczodrze, bo od hojności wiernych w tym względzie zależy w znacznej mierze rozkwit licznych dzieł miłosierdzia, a zwłaszcza misyi w krajach pogańskich.

Knajpa.

„Byłem pijany. Nic nie pamiętam. Wytłukłem moją żonę. Dziwna rzecz! Na czczo nie jestem zły... lecz do licha, kiedy się upiję, nie wiem, co robię...“

Takie słowa — to codzienna historya w warstwie ludności ciężko pracującej. Kobieta często jest męczenniczką. Alkohol wywołuje brutalność męża, ojca, brata, syna. Kiedy ciężki, nierówny krok pijaka słychać na schodach, żona i dzieci drżą i mówią sobie, że nadeszła ich ostatnia godzina.

Myślę o ofiarach licznych, niezliczonych, tych alkoholików, którzy zdają sobie sprawę z nędzoty, z potworności swego życia dopiero na progu śmierci, zresztą wielu z nich umiera, nie pojmując, że sprawiali dokoła siebie tylko zniszczenie.

Gazety w swej kronice wypadków podają niektóre tylko przerażające zbrodnie, popełniane przez alkoholików, — notują wreszcie całe litanie samobójstw, głównie kobiet i dziewcząt. — Głucho jednak w pismach o tych rodzinach, w których alkoholicy szerzą spustoszenie, na powolną, niewidocznie zbliżającą się śmierć skazując swe ofiary.

O tych ofiarach nikt nie wie, mało kto niemi się interesuje. Żona pijaka, matka kilkorga dzieci zapracowuje się, aby wyżywić siebie i dzieci. Wyniszczona fizycznie i moralnie umiera przedwcześnie. Nikt nawet nie pomyśli, że nędzny pijak skazał ją na męczeństwo bytu i skrócił jej życie. Biedne dzieci idą na poniewierkę ludzką. Dziewczęta giną w odmęcie życia. — Na bruku miejskim podczas pijackich orgij żaden z ich przygodnych towarzyszy nie zapyta się, co je skłoniło do „życia, z którego się wcześnie umiera“. — Na dnie pamięci dziewczyny, pod stosem wspomnień przykrych, spoczywa najbardziej przykre wspomnienie: „Ojciec był pijakiem, bił matkę, wypędzał nas z domu“.

Knajpa! Zgubiła ich knajpa.

Trafna odpowiedź.

W czasie podróży koleją zapytało się kilku żartownisów księdza, jadącego razem z nimi, czy nie wie, dlaczego we śnie Jakubowem Aniołowie wstępowali do nieba i zstępowali po drabinie? Księża uczą przecież, że Aniołowie mają skrzydła — więc nie potrzebowali przecież drabiny!

— Wiecie co, moi panowie, odpowiada ksiądz spokojnie, ja sobie to wyjaśniam w następujący sposób: Aniołowie prawdopodobnie bezpośrednio przedtem musieli wielki transport szyder-

ców z wiary przeprowadzić do piekła i pewnie sobie przy tem w piekle skrzydła opalili!

Serdeczny śmiech towarzyszy podróży był odpowiedzią na żarty wolnomyślnych, którzy zamilkli i siedzieli cichutko.

Bezreligijność a zbrodnie.

P. Mosby, członek jednego z poważnych uczonych stowarzyszeń amerykańskich, przedtem protestant, a od niedawna katolik, twierdzi stanowczo, że bezwyznaniowość, czyli bezbożność i wogóle brak u człowieka wszelkiej religii i pobożności, — to pierwsza przyczyna upadków i zbrodni. Przeciwnie zaś religijność stanowi najdzielniejszą obronę przeciw złemu.

W książce, która ma się wkrótce ukazać, pisze p. Mosby, że Kościół katolicki. jak dawniej tak i dziś, był i jest najpotężniejszą strażnicą dobrych obyczajów. Mosby badał około 3500 zbrodniarzy, studyował charakter każdego z osobna i nie spotkał między nimi nigdy prawdziwie religijnego człowieka. Zbrodnie i religia prawdziwa, to dwa przeciwieństwa, które obok siebie istnieć nie mogą.

Nieudałe próby ześwieczczenia opieki nad chorymi we Francyi.

Jedno z francuskich pism, które wcale do katolickich się nie zalicza, przyznaje otwarcie, że próba zastąpienia w szpitalach S óstr zakonnych świeckiemi pielęgniarkami, całkiem się nie udała.

Zarządy wielu miast francuskich stwierdzają, że świeckie pielęgniarki, które wprowadzono do szpitali do opieki nad chorymi w miejsce wypędzonych zakonnic, kosztują bardzo drogo, opłata ich bowiem wynosi prawie trzy razy tyle, co osób ze stanu duchownego, a nadto chorzy nie mają w świeckich pielęgniarkach żadnej opieki.

W mieście Awinionie i Tuluzie wybuchły epidemie — tyfus i ospa. Swieckie pielęgniarki nie stawiły się więcej w szpitalach i musiano znowu przywołać Siostry zakonne, które też natychmiast zajęły się opieką nad chorymi. W Cherbourgu, Annecy, Roanne i Clammey mogą Siostry zakonne znowu objąć opiekę nad szpitalami — tak rozrządziły rady gminne z przyzwoleniem masonów i socyalistów.

Znamiennem jest, że Klemanso były prezydent ministrów, za którego rządów wypędzono zakonnice ze szpitali, gdy w roku ubiegłym musiał się poddać operacyi, wybrał sobie klinikę paryską, w której opiekę nad chorymi mają Siostry Miłosierdzia, a wyzdrowiawszy — polecił pewnemu ogrodnikowi paryskiemu,

aby przez cały tegoroczny miesiąc maj zdobił kwiatami ołtarz Najśw. Panny Maryi w kaplicy Sióstr w owej klinice, gdzie Klemanso się leczył.

Jeden z lekarzy protestanckich, dr. Steg, utrzymujący jedną z wielkich klinik paryskich, dopuszcza jako pielęgniarki tylko Siostry zakonnice. „Związek lekarski“, liczący 10 tysięcy członków, protestuje do dziś przeciw zastępowaniu zakonnic świeckiemi pielęgniarkami. To wszystko bardzo gniewa masonów i socyalistów, ale nic też poradzić nie mogą, bo ruch za przywróceniem zakonnic do szpitali coraz większy.

Prócz tego czytamy w pismach francuskich o wielkiem zgromadzeniu robotników, jakie się odbyło w obwodzie Montmartre w Paryżu celem zaprotestowania przeciw wypędzeniu Sióstr. Liczni mówcy, którzy się swoich przekonań socyalistycznych nie zapierali, żądali powrotu zakonnic, ponieważ okazywały one przy pielęgnowaniu chorych robotników tyle poświęcenia, że ich zastąpić niepodobna. Siostry zakonne są właściwemi pielęgniarkami klas niezamożnych, na świeckie pielęgniarki nie mogą sobie te warstwy ludności pozwolić, ani ich też nie pragną — Do paryskiej rady miejskiej wysłano deputacyą, która ma się domagać powołania ponownego zakonnic do opieki nad chorymi.

Polacy w Saksonii i w sąsiednich dzielnicach.

Sekretaryat „Towarzystwa Opieki nad wychodźcami sezonowymi“, istniejący w Lipsku, podaje w kilku pismach polskich następujące uwagi o polskich robotnikach na „Saksach“:

Naszym robotnikom grożą podczas pracy w Niemczech różne niebezpieczeństwa i straty z powodu nieznajomości tutejszych stosunków ustawodawczych. Przez przeciąg całego sezonu zdołaliśmy wniknąć w niektóre sprawy, które domagają się wyświetlenia, gdyż nie można obojętnie patrzeć na krzywdy stąd powstające, które doprowadzają nieraz naszych robotników do ruiny i rozpaczy.

Na samym początku należy zwrócić uwagę na sposób zawierania kontraktów, gdyż to jest zaczątkiem operacyj, dokonywanych na naszych wychodźcach przez różne powołane i niepowołane czynniki, które się trudnią dostarczaniem tanich sił roboczych agraryuszom niemieckim. Kontrakty, jakie się naszym ludziom na granicy przedstawia, są na pozór korzystne a nawet niektóre, jak mówią robotnicy, „pańskie«. Dziwne tylko, że najwięcej właśnie dla tych „dobrych“ i „pańskich“ kontraktów robotnicy nieraz zaraz w pierwszych tygodniach bez pieniędzy i papierów uciekają, szukając schronienia po stogach i rowach, aż

nareszcie, gdy ich nikt do pracy nie przyjmie dla tego, że nie mają papierów, zostają przez władze odstawieni do granicy. — Dzieje się bowiem tak, że werbujący ludzi, chcąc się jaknajrychlej w robotnika zaopatrzyć, przedstawiają im możliwie jak najlepsze warunki zarobkowania, gdy tymczasem oszukują ich w najgorszy sposób, gdy robotnicy już są na miejscu, daje im się inny kontrakt wmawiając im, że się nań zgodzili. Tu właśnie należy naszych robotników ostrzegać, aby kontrakt, który podpisali, zabrali ze sobą a nie wracali go agentowi, skoro chcą uniknąć nieporozumień.

Następnie robotnicy winni więcej baczyć na niektóre formułki, które dotyczą wojskowości, akordu, choroby, obiadowania w polu, gdyż pracodawcy po podpisaniu kontraktu albo ustnej umowie, są nieubłagani i robotnikom ustępstw żadnych nie czynią.

Tem się właśnie tłomaczy, że tysiące marek w postaci kaucyi i kosztów podróży robotnicy nasi pchają w kieszenie pracodawców, zrywając umowę. Znamy wypadek, że z powodu śmierci matki córka jechała na pogrzeb, pracodawca zatrzymał jej kaucyę (30 marek) i nawet zarobek tygodniowy. Najwięcej zatargów mieliśmy na tle umów kontraktowych, gdyż nigdzie nie powie się, ile będzie akordu, ani bliższe warunki nie są podane. W czasie żniw, gdzie zarobek się podwyższa o 30 do 40 fen., zachodzą straszne rzeczy, gdyż właśnie tu pokazuje się ów straszny wyzysk naszych ludzi.

Robotnikom się powiada, że mają pracować pilnie i szybko, gdyż będzie się liczyło jako akord, to też robotnicy starają się w miarę swych sił sprostać życzeniom swych nadzorców. Gdy atoli nadejdzie zapłata, pokazuje się, że ich wyzyskano w sposób bardzo podły, bo im się daje dzionkę. Z tego powodu zachodzą tak częste zrywania kontraktów i wydalania robotników, za upominanie się o przysługujące im prawa. W kilku miejscowościach, gdzie ludzie nasi dopominali się swych słusznych praw, zostali jako „impertynenci“ i podżegacze odstawieni do granicy, aby, zdaniem pracodawców, innych swą niesfornością nie zarażali.

Dziesiątki robotników, którzy mieli śmiałość żądać swych ciężko zarobionych groszy, jako uprzykrzeni cudzoziemcy — laestige Ausländer — zostali wydaleni. Takim ludziom zwykle przepada kaucya, a nawet rzeczy nie pozwala się zabierać ze sobą.

Zupełnie też zrozumiałem jest, że na taką ilość robotników polskich, jaka pracuje w Niemczech, zachodzą bardzo często nieszczęśliwe wypadki. I tu należy naszych robotników więcej w tej sprawie pouczyć, bo kilka spraw, jakie poznaliśmy, dowodzą, że i tu robotników naszych się wyzyskuje.

Robotnik Cierkos pracował we dworze Hohburg i tam spotkał go nieszczęśliwy wypadek, tak, że jest do pracy, jaką dawniej wykonywał, niezdolny. Na wezwanie spółki zawodowej udał się C. do lazaretu, celem obserwacyi. Tamże sporządzono proto-

kół i przedłożono C. celem podpisania, co też C. uczynił. Z powodu, iż robotnik nie otrzymywał następnie o swej rencie żadnej wiadomości, zwrócił się do nas. Gdy zapytaliśmy spółkę o powód umorzenia sprawy, odebraliśmy odpowiedź, że Cierkos zrzekł się renty i oświadczył do protokołu, że ani dla siebie ani dla swej rodziny żadnej renty nie żąda. Robotnik natomiast przeczy, aby on, podpisując się, miał zamiar zrzekać się renty. — Sprawa ta jest jeszcze w toku.

Robotnik Kaźmierczak, pracując w Seeben, postradał w czerwcu oko, a do dziś żadnej renty nie odbiera, pomimo, że nieszczęście, jakie go spotkało, wydarzyło się podczas pracy.

Podobnych spraw zachodzą dziesiątki, lecz dzięki „życzliwości“ pracodawców i nieporadności naszych Rodaków, zostają ludzie nasi w taki sposób traktowani.

Sekretaryat w Lipsku.

Jaki dziennik mamy prenumerować?

Kilkakrotnie już pisaliśmy na tem miejscu o ważności i konieczności dobrej prasy.

W myśl licznych wskazówek Ojca św., uznał zeszłoroczny Zjazd Skargowski w Krakowie konieczność stworzenia potężnej prasy katolickiej. Obecni na Zjeździe Najprzewielebniejsi Arcypasterze, w gorących słowach zachęcali do poparcia prasy katolickiej.

Najpewniejszy i najlepszy sposób popierania dobrej prasy jest prenumerowanie dobrego dziennika katolickiego. Takim jest wychodzący w Krakowie dziennik:

„GŁOS NARODU“

„Głos Narodu“ stoi silnie na gruncie katolickim i polskim i jest nieustraszonym orędownikiem Kościoła św. i ojczyzny.

Prenumerowanie „Głosu Narodu“ Szanownym Czytelnikom gorąco polecamy.

Administracya „Głosu Narodu“ w Krakowie przy ulicy św. Tomasza l. 35 — wysyła na każde żądanie bezpłatnie numera okazowe.

Pamiętajmy, że w jedności siła!

To i owo.

Z Rzymu. Dnia 5 listopada odbyło się w kaplicy sykstyńskiej nabożeństwo uroczyste za spokój duszy Papieża Leona XIII.

Papież Pius X. przybył na nabożeństwo i wziął po raz pierwszy od chwili wyzdrowienia udział w uroczystości urzędowej. Mszę

św. celebrował Kardynał Wanutelli. Obecnych było 17 Kardynałów, posłowie czyli zastępcy kilku mocarstw, oraz liczna publiczność.

Z Jasnej Góry. W październiku br. przeor zakonu OO. Paulinów na Jasnej Górze, O. Justyn Weloński dokonał uroczystych obłóczyn w sukienki zakonne dwóch nowo przystępujących aspirantów Zieńkowskiego i Zanieckiego, pochodzących z Warszawy, gdzie obydwaj skończyli szkoły średnie.

Po ostatnich zmianach, jakie zaszły wśród OO. Paulinów na Jasnej Górze, oprócz O. Bernarda Dudzińskiego i O. Stefana Szamaryna, którzy w r. b. wstąpili do klasztoru, z dawnych Paulinów pozostało sześciu: O. Alfons Jędrzejewski, (najstarszy słynny kaznodzieja), O. Piotr Markiewicz, (magister kleryków) O. Romuald Dziemianowicz, O. Paweł Ciepliński, O. Wincenty Olszewicz, i przeor O. Justyn Weloński oraz 2 kleryków: Aleksander Łasiński i Walery Barski.

Z Francyi Rada miasta Loiret postanowiła wezwać zakonnice do pielęgnowania chorych w powiększonym zakładzie dla obłąkanych. Loiret jest jedną z miejscowości najbardziej obojętnych dla katolicyzmu.

Rada miasta Lurtuit w Bretanii postanowiła na mocy prawa o rozdziale Kościoła od państwa usunąć proboszcza z domu miejskiego. Wiadomość ta wywołała w mieście prawdziwy stan oblężenia. 50 żandarmów pod wodzą podprefekta i specyalnego komisarza wyłamało drzwi w domu proboszcza, który wówczas z tłumem parafian schronił się do ogrodu, a następnie udał się do sąsiedniej miejscowości.

Minister marynarki Baudin wydał okólnik, w którym nakazuje komendantom francuskich statków wojennych, aby we Wielki Piątek przestrzegali na swych okrętach o ile znajdować się będą na pełnem morzu, ceremonii kościelnych zniesionych w marynarce francuskiej w r. 1896. Nie ulega wątpliwości, że cyrkularz ministra wojny wywoła burzę w obozie masońskim.

Do Lourdes (Lurd) przybyło w ubiegłym roku niemniej jak 446 pielgrzymek ze wszystkich stron świata. Ogólna liczba pątników przekraczała jedną czwartą miliona. Biuro wywiadowcze odwiedziło 560 lekarzy, pomiędzy nimi 190 lekarzy z poza granic Francyi, około 60 profesorów i dyrektorów publicznych szpitali i lazaretów. Zapisano w roku 1912 niemniej jak 1004 uzdrowień.

Najwięcej kościołów na świecie znajduje się w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki w porównaniu do liczby ludności. Naliczono tam 192 tysiące 759 kościołów, nie licząc kaplic oraz sal modlitwy. Ogólny majątek kościelny przedstawia wartość 5 miliardów dolarów, czyli około 25 miliardów koron.

Pamiętajmy o funduszu na budowę kościołów i kaplic.

Wydawca: Ks. Dr. Karol Nikiel. Odpowiedzialny redaktor: Karol Holeksa.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.